

ŚLAD MATCZYNYCH STÓP.

Witold już dawno porzucił rodziną wioskę. Żył w wielkiem mieście wygodnie i dostatnio, dumny, że sam sobie miał do zawdzięczenia i stanowisko i dobrobyt. Czasami jednak mimo całego zadowolenia dręczyła go tęsknota. Nie zdołały jej zagłuszyć ni dostatki, ni zaszczyty.

Jakoś po świętach Bożego Narodzenia, tęsknota ta za rodzinnym domkiem wśród gór, stała się nie do zniesienia.

Sam nie wiedział, czego właściwie żądał! Czy wypocząć, kiedy nie był zmęczony, czy pomarzyć trochę, czy też wreszcie dobrze wynudzić się w głuchej wiosce, aby potem z większą ochotą wrócić do miasta.

Pojechał.

Była to niedziela. Wczesnym rankiem wysiadł na maleńkiej stacyjce i ścieżką na polnej drodze ruszył w kierunku zdaleka widniejącej osady. We wszystkich prawie jej chatkach, przez małe okienka wydobywało się światło, widocznie mieszkańcy wstawali już do kościoła.

Witold szedł z trudem po drodze zawianej doszczętnie śniegiem. Radosne przeświadczenie, że za chwilę zobaczy ukochaną matkę, pchało go ciągle naprzód i odbierało zmeczenie.

Ale co to?

Brama niewielkiego ogródka zamknięta, okna ciemne! Z bijącym sercem, Witold przeskoczył ogrodzenie i zaczął się gwałtownie dobijać. Wszystko bezskuteczne. Przerażony ciszą, bez namys-

tu, wybił okno i wskoczył do pokoju.

Czyżby się co stało?

Ale nie, w sypialni łóżko było jeszcze ciepłe. Na piecu stało mleko gotowe do wypicia, okulary staruszki leżały na małym stoliku, a wszystkie przedmioty zdawały się być pełne blasku osoby, do której należały. Nie były martwe, lecz śpiące, a całe mieszkanie jakby pełne bicia jej kochającego serca.

Na dworze już szarzało, lecz na polach i drodze leżała martwa cisza, przerywana tylko echem bijących, kościelnych dzwonów.

— W rodzinnym domu — pomyślał Witold — i fala gorącego wzruszenia zalała mu serce. Co za czarowne słowo! Tak, przybył tu gnany tęsknotą, lecz nie zastał tej, która była jej uosobieniem! Gdzie poszła? Coś jak niepokój zatargało Witoldem.

Wyszedł znów na podwórze i niezdeterminowany stanął na drodze zasypanej śniegiem. Powoli ogarnęło go rozczarowanie i nuda. Po co przybył? Na co się trudził?

Nagle ujrzał obok, na śniegu, ślady matczynych stóp. Na białym całunie widniały wyraźnie odciski ciężkich bucików, podbitych gwoździami na obcasie i półksiężycami z blachy na szerokiej zełwce. Tak, poznał je odrazu, matka nosiła bowiem stale nieforemne, zwykle buciki.

Witolda na widok tych śladów ogarnęło wzruszenie. Domyślił się, że matka poszła już widocznie do kościoła, nie bacząc na zadymkę i zasypane śniegiem ścieżyny. Jak